

Krzysztof M. Maj
Jak pozbyć się tasiemca*

Nie rozumiem entuzjastycznych ocen finału sagi *Cienie pojętnych*, z którą, jako ostrożny miłośnik steampunku i jeszcze ostrożniejszy miłośnik entomologii, wiązałem już od 7 lat dzielących nas od premiery świetnego *Imperium Czerni i Złota* wielkie nadzieje. A czekałem na wiele. Czekałem, aż któryś z krytyków bądź akademików określi sagę Adriana Tchaikovskyego entomologiczną bądź owadzią fantasy (*entomologic* lub *bug fantasy* brzmi minimalnie gorzej od stającego się nieodłącznym bohaterem moich ostatnich recenzji *gunpowder fantasy*) i na zawsze przekreśli moje nadzieje na zaistnienie profesjonalnej klasyfikacji gatunków fantastycznych, dając zarazem asumpt do sardonicznych przytyków wymierzonych przeciw strukturalnej szkole badań literaturoznawczych. Czekałem, aż Tchaikovsky przestanie pisać swój cykl wedle tematycznej sztancy: nowy tom – nowa rasa – nowa technologia – i stary wróg w postaci Imperium Osowców. Czekałem, aż rewelacyjne i przełomowe decyzje fabularne – w postaci wprowadzenia w tomie piątym (*Ścieżka skarabeusza*) prastarej rasy ślimakowców i w tomie szóstym (*Morska straż*) tytułowych morskich, fantastycznie destabilizujących *status quo* lądowego królestwa owadopodobnych – doprowadzą do interesującego i zaskakującego finału, odsłaniającego jakieś sekrety z ery poprzedzającej czasy tytułowych Pojętnych. Czekałem wreszcie, aż odkrycie w przedostatnim tomie podziemnego świata, domeny Robaka – czyli skolopendropodobnej rasy-roju, postrachu ery Niepojętnych – odwróci bieg historii i pokaże złudność nadziei związanej z postępem technologicznym, dekonstruując tym samym największy fetysz steampunku... i wszystko na próżno. Nie doczekałem się. A może się właśnie doczekałem, dostałem za swoje i popamiętałem, ja, naiwny czytelnik, któremu Tchaikovsky pokazał, że nawet najbardziej awangardowe pomysły światotwórcze może obrócić wniwecz źle rozplanowana narracja i sztampowe chwytne fabularne.

* Recenzja książki: Adrian Tchaikovsky, *Pieczęć Robaka* [*The Seal of the Worm*], przekł. Jarosław Rybski, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis 2015, 978-83-7818-679-3, ss. 664.

Przez 9 tomów *Cieni pojętnych* przyrost materiału fabularnego spowodował, że Tchaikovsky musiał – celem utrzymania bodaj pozorów higieny artystycznej – doprowadzić do takiej sytuacji, w której będzie można zgrabnie i z godną nowatorstwa cyklu elegancją rozwiązać wszystkie ponapoczynane wątki i rozładować kumulowane przez cały cykl napięcie, tak wychwalane przez łasych na wartką akcję recenzentów. Owo rozwiązanie i rozładowanie zajmuje zajęło Tchaikovskiemu ściśle 19 stron, tj. niespełna 3% całości książki i 0,3% sześćtysięcypięćsetdwudziestostronicowej sagi – czyli, ośmielę się zauważyć, zgoła niewiele. Nie dość w każdym razie, by nie pozostawić czytelnika z, cóż tu ukrywać, głupim wyrazem twarzy po rzeczonym dziewiętnastostronicowym epilogu, w którym jeden z lepiej napisanych antagonistów pierwszych tomów cyklu kończy jako pantoflarz, sympatyczny as wywiadu z Kolegium przenosi się na łono Abrahama – lub jego owadopodobnego ekwiwalentu – a niewypowiedzianie irytująca i antypatyczna heroina Cheerwell „Połączę-Stare-z-Nowym” Maker jak na złość uporczywie nie chce zdechnąć. Z listy pomniejszych usterek narracyjnych światotwórczych:

- 1) po lekturze *Wrót mistrza wojny* i *Pieczeni Robaka* wciąż nie do końca rozumiem, jak skolopendrycy zostali zapieczętowani pod ziemią i jak doprowadziło to do zmierzchu ery Niepojętnych;
- 2) w dalszym ciągu nie wiem, dlaczego Niepojętność wiązała się z niezrozumieniem tak podstawowych mechanizmów, jak chociażby klamka, z którą, dajmy na to, radzi sobie nawet pies, cóż więc dopiero mag, nawet tak safandułowaty, jak statystyczny Rincewind;
- 3) pomysł stworzenia esencji owadopodobności przez skolopendrytów jest może ziszczeniem snu Edmunda Husserla o drewnianej misce, ale mnie z jakiś względów ów *Skolopendrus Skolopendrosus* przypomniawszy raczej gigantycznego węża Seta z kreskówki *Conan awanturnik* („Conan / ma wichru moc! / a ramię – ma jak stal!”);
- 4) chciałbym wiedzieć, jak zginął ostatecznie Tisamon i jakim cudem imperatrowa Seda, która była zdolna z inteligentnej, niezawisłej istoty uczynić całkowicie niezniszczalną maszynkę do mielenia mięsa, nie mogła sobie poradzić z wyłażącą z ziemi armią skolopendrytów w inny sposób, niż instalując w Imperium obozy koncentracyjne dla rytualnego uboju Niepojętnych;
- 5) kompletnie nie rozumiem, dlaczego przez dziesięć tomów cyklu akcja ani razu nie przeniosła się na ziemię pająkowców, mimo że grali oni przez praktycznie

cały czas narracji dość kluczową rolę, a ziemię przez nich zajmowane wypełniły 1/3 dołączonej do cyklu (dodajmy: cały czas tej samej) mapki;

- 6) nikt nie wyjaśnił mi, skąd tak gigantyczną moc czerpali ślimakowcy (bo chyba nie z Wielkiej Ślimacznicy? bardzo proszę: nie) i cóż niby miała oznaczać ta dziwna mistyczna więź między imperatorką Sedą a po trzykroć zanudzającą Cheerwell Maker?
- 7) pozbywanie się rewelacyjnych bohaterów (na szczycie Salme Dien, Darian-drephos czy Thalryk, bo on jednakowoż dla mnie umarł, odkąd trafił pod but Cheerwell) w myśl doraźnych zwrotów akcji bądź unieśmiertelnianie innych bohaterów (wspomniany Tisamon) z uwagi na brak równie charyzmatycznych następców – coś, czego unika nawet cieszący się na tym polu jak najgorszą reputacją George R. R. Martin;
- 8) i długo by jeszcze wymieniać, ponieważ ostatni tom *Cieni pojętnych* pozostawia tak gigantyczną ilość wątków nierozwiązanych, że aż na milę wionie to Syndromem Jeszcze Jednego Sequela.

Jedyny sukces Tchaikowskiego, jaki można byłoby wskazać z perspektywy nadzwyczaj rozczarowującego finału serii, daje się rozpatrzeć z tej perspektywy, która od początku była dominująca dla *Cieni pojętnych*, a mianowicie entomologicznej. W *Pieczeći Robaka* pozbył się on bowiem nie tylko tytułowego *scolopendra abnormis et gigantea*, ale również i tasiemca, w którego zaczynała się powoli zmieniać jego saga. W efekcie trudno tę powieść polecić komukolwiek – fani sagi (przynajmniej nie ci bezkrytyczni) rozstaną się z lekturą zawiedzeni, acz z poczuciem pozbycia się zalegających w trzewiach niepewności, zaś ci, którzy muszą się do stylu Tchaikowskiego dopiero przekonać, powinni zabrać się za lekturę początkowych odsłon dekalogii.

I poprzestać gdzieś na poziomie części siódmej.